

Gnębiciele i krzywdzeni (tytuł roboczy - raczej dość słaby) Rozdział 1 — Kazjuno

Od autora: Mam nieśmiałą nadzieję, że książka, nad którą pracuję, może Was zainteresować. Napisałem na razie 26 rozdziałów, które będę sukcesywnie publikował na łamach Portalu Pisarskiego.

Przypuszczam, że zawarte w niej przesłanie może mieć walory edukacyjne. Jeśli nie, to może przynajmniej pomoże czytelnikom sobie uświadomić, jak przeszłość mogła wpłynąć na obecną w teraźniejszym polskim życiu takiej ilości szamba. Ale pewnie niektórzy znajdą w jej zawartości tylko walory rozrywkowe? Jeśli tak, to czemu nie? Jako autor, zadowolę się i takimi odbiorcami.

Nie wykluczam, że czytający mogą być zaskoczeni nie małą ilością wulgaryzmów. Może i razić obfitość scen nasyconych seksem i przemocą. Nie wykluczam, że odstręczę smakoszy literatury. Jednak chciałbym trafić do szerokiego spektrum odbiorców, pragnąłbym być czytany przez młodzież (jednak powyżej 15 roku życia!/), a większość młodych to miłośnicy kasowych filmów amerykańskich o treściach pełnych „mocnych” scen...

Powieść piszę w oparciu o zaistniałe fakty. Pokusiłem się o lansowanie mniej znanej polskiej bohaterki. Prawie wszyscy wiedzą kim była żołnierka wyklęta Inka Śledzikówna. Na łamach tej książki promuję też inną żołnierkę niezłomną, uważam, że swoim bohaterstwem także zasłużyła, by umieścić JĄ wśród słynnych patriotek. To Irena Odrzywołek - ta - dzięki której udało się rozbić ubeckie więzienie Świętego Michała. Pozwoliłem sobie tu opisać jej młode życie.

Zajmującej lektury, KJ

Rozdział 1 Życiowe wybory Jurka Wolczeckiego

Jurek Wolczecki, który przestępczą karierę zaczynał w wieku lat czternastu, pochodził z krakowskiej rodziny kupieckiej. Uczono go kulturalnych manier i starano się go wykształcić. Wadą Jurka, która niepokoiła rodziców, była niechęć chłopca do szkolnych obowiązków. Zapracowani rodzice nie zauważyli, kiedy on – najstarszy z trójki synów – latem 1935 roku zaczął obracać się w podejrzanym towarzystwie. Zamimponował mu kuzyn kolegi, który przyjechał w odwiedziny do rodziny z sąsiedniej kamienicy. Zamieszkała w pobliżu rodzina nie cieszyła się dobrą opinią, dlatego Jurek grożąc pobiciem, zabronił młodszemu braciom mówić o przyjaźni łączącej go z kolegą z sąsiedztwa. Ów o trzy lata starszy od nich kuzyn kolegi, prezentujący się jak wiedeński elegant, był zawodowym złodziejem, świeżym absolwentem renomowanej – jak twierdził – szkoły lwowskich doliniarzy.

Na oczach ubezpieczających go sąsiada i Jurka, pokazał jak efektownie zarabia się pieniądze. Demonstracji dokonał w Sukiennicach wypełnionych jak zwykle w porze południowej tłumem kupujących. Frajera, próbującego pewnie kupić drogą biżuterię, wytypował zauważywszy, że wyciągnął pękaty złoty portfel koło stoiska jubilerskiego. Jurek, szybko oddychając z podniecenia zobaczył jak wytworny złodziej pochylił się na chwilę nad gablota z złotymi pierścionkami, lekko trącił upatrzonego jegomościa, po czym go przeprosił.

Za chwilę Wolczecki zaniemówił, nie mógł wykrztusić do kolegi słowa. „To niemożliwe”! Na jego oczach, złoty, napęczniały z lśniącej skóry portfel, szemrany elegant płynnym ruchem umieścił w kiesze-

ni marynarki sąsiada, rówieśnika Jurka. Odchodząc szybkim krokiem, łobuzersko się uśmiechnął i puścił do nich oko.

- Co chłopczkowie, pewnie jesteście głodni – zagadał parę minut później, kiedy spotkali się w umówionym miejscu na ulicy Floriańskiej.

Złodziej odebrał przechowany przez kolegę portfel. Zanim schował do kieszeni w zdobycz chuchnął i patrząc na młodszych pomagierów oznajmił.

- Teraz zapraszam do restauracji Havelka.

Wolczecki nie należał do ubogich chłopców, jednak rzadko bywał w restauracjach, a tak smakowitych dań jak zraziki po nelsonsku oraz lodowy deser z kawą parzoną w ekspresie, dotąd nie kosztował.

Gdy wraz z przyjacielem i uwiedzioną przez kieszonkowca dziewczyną odprowadzali złodzieja na kolejowy dworzec, Jurek zadał mu pytanie.

- Długo się trzeba uczyć, żeby osiągnąć twoje umiejętności?

- Sam się nie nauczysz. Jakbyś miał możliwość zamieszkać we Lwowie, to może mógłbym ci pomóc.

- Mam tam ciotkę, siostrę matki – szybko wyrzucił z siebie podekscytowany Jurek. – Rodzicom powiem, że w gazecie wyczytałem o lwowskiej prywatnej szkole dla przyszłych kupców. Może się zgodzą na mój wyjazd.

Elegancki złodziej dotrzymał słowa. Gdy spotkali się we Lwowie, przedstawił Jurka dwóm jegomościom prezentującym się, jak on elegancko. Byli odziani w drogie i świetnie na nich leżące garnitury. Następnego dnia na umówionym spotkaniu, na które przybysz z Krakowa chętnie przystał, zaproponowali edukację w szkole złodziejskiej. Obiecywali atrakcje życia w luksusach z emocjami i dreszczykiem, które w przyszłości miały być nagrodą za trudy kształcenia się pod okiem wybitnych specjalistów. W międzyczasie o lwowskich szkołach dla kieszonkowców Jurek czytał w brukowcach. Ponoć w środowisku doliniarzy miały renomę czołowych w Europie.

Jednak już po dwóch tygodniach uczęszczania na popołudniowe kursy, po raz pierwszy w czasie zajęć praktycznych, otrzymał bicie harapem. Dyrektor szkoły Moryc Szajbe trzosem rzemieni zakończonych gruzelkami bił z całej siły po nogach.

- Zbiera się na płacz? – zapytał wpatrując się przenikliwie w nabrzmiałe od łez oczy Jurka.

- Ale skąd – odpowiedział chłopiec wiedząc, że za okazywanie słabości poczuje dodatkową porcję straszliwie piekącego bólu.

- To masz małą dokładkę – z cynicznym uśmieszkiem powiedział mistrz złodziejski i chlasnął go w mniej obolałe jeszcze udo.

Bicie, często stosowane w szkole adeptów doliniarstwa służyło wyrabianiu charakterów. Zaprawieni w znoszeniu bólu przyszli złodzieje, później, zaarrestowani przez policję, nie załamywali się łatwo w czasie śledztw.

Jurek zaczął zdawać sobie sprawę, że z deszczu wpadł pod rynnę. Zajęcia były trudne wymagające elastycznych palców. Za pierwszym razem uśmiechnął się na widok manekina, którego postrzępiony słomkowy kapelusz skojarzył mu się ze strachem na wróble. Zarówno słomiane rondo kapelusza, jak i rękawy, a nawet niewidoczne wnętrza nogawek, obwieszane były dużą ilością małych dzwoneczków. Przez pierwsze dwa tygodnie Jurek zachęcany do ćwiczeń próbował wskazanymi chwytami wyjmować portfel z różnych kieszeni manekina. Nie znosił dzwoneczków, co chwila sygnalizujących jego nieudolność. Wkrótce zorientował się, że niektórzy kursanci, popisujący się palcami wyginanymi jakby były z gumy, byli synami złodziei i ich ojcowie w trosce o zawodową przyszłość dzieci gimnastykowali im dłonie od wczesnego dzieciństwa. Nastąpiły dni, kiedy za źle wykonane zadanie, zaczęto go karać biciem. Popełniał coraz to mniej błędów. Feralnego dnia, tydzień po pierwszej karze cielesnej, przystąpił do ćwiczenia uważanego przez kolegów za bardzo łatwe, podchodził do niego po raz czwarty. Niestety i tym razem zadzwoniły potrącone sygnalizatory partactwa. Wykładowca przydzielił mu porcję chłosty. Co jeszcze gorsze, szef szkoły rzeźmieszków nakazał mu wznowienie przedpołudniowego uczęszczania do szkoły dziennej. Jurek był zdruzgotany, wracając piechotą jesiennym wieczorem 1935-go roku do domu ciotki połykał ściekające mu do ust łzy. Zdawał sobie sprawę, że nie ma odwrotu i nie może opuścić szkoły złodziejskiej. Przed przystąpieniem do nauki złożył przysięgę, był przekonany, że wyłamanie się z niej oznacza dla niego wyrok śmierci. Pokazano mu kilkanaście fotografii trupów, na których ubraniach widniały czarne plamy krwi.

- Ci nas zdradzili, a ci zaczęli kapować, a za to przyżeniamy kosę[1] – wyjaśnił złodziej, który był jednym z członków weryfikacyjnej komisji i pokazując kolejne fotografie gładził się po wąsko podgolonych baczach.

Jurek przeżywał ciężkie chwile, myślał o samobójstwie, jednak w następnych dniach zaopiekował się nim starszy o dwa lata chłopak ze starej złodziejskiej rodziny.

- Słabo gamzasz kminą, czasem nie kumasz, jaka idzie do ciebie nawijka[2]. Chcesz to cię pouczę – zaproponował kolega chodzący już na doliniarskie akcje. Jasny Lolek – taką ksywę miał starszy kamrat – uwagę Jurka zwracał od pierwszych zajęć. Był wyjątkowo elegancko ubierającym się blondynem o starannie przystrzyżonych lokach. Dbalność o wygląd zewnętrzny była jednym z wymogów szkoły, lecz Jasny – jak potocznie zwracano się do Lolka – w swoich garniturach szytych u drogich lwowskich krawców, prezentował się jak żurnalowy model. Niestety mimo niemal hrabiowskiego wyglądu cechowało go dyskwalifikujące ograniczenie – nie nauczył się dobrze mówić po polsku. Przez to, mimo wybitnych umiejętności złodziejskich, czuł się niepewnie wśród ludzi z wyższych sfer, a tych najbardziej chciał okradać. Od dziecka nauczony szybkiego szwargotania kminą z podziwem słuchał swobodnych wypowiedzi poprawną polszczyzną nowego kandydata na złodzieja Jurka Wołczeckiego.

Jasny okazał się pomocny nie tylko w opanowaniu złodziejskiego żargonu. Ćwiczyli razem uwalnianie się od stosowanych przez policję chwytów. Gimnastykował palce młodszego kolegi. Stacjali walki w bokserskich rękawicach, a tu Jurek wykazywał się refleksem i sprytem. Z wdzięczności rewanzował się nauką czytania i starannej wymowy.

Po rocznej współpracy z Lolem, Jurek ubezpieczony przez przyjaciela zadebiutował obrabiając w tram-

waju z portfela pierwszego frajera. Egzamin z poprawnej polszczyzny zdał też Lolek Jasny. Językowy test zaliczył w czasie niedzielnej przechadzki w Parku Stryjskim. Tam koledzy zauważyli dwie uśmiechające się do nich gimnazjalistki. Udając studenta Uniwersytetu Jana Kazimierza, Lolo wywiązał się ze swojej roli znakomicie. Dziewczyny były zaurczone towarzystwem młodych złodziei. Zaprosiły przygodnych znajomych do okazałej willi, którą rodzice jednej z nich pozostawili pod opieką głuchawej służącej. Wówczas Jurek, tańcząc sentymentalne tango płynące z głośnika nakręcanego korbą patefonu, roznamiętniany przez całującą go w szyję gimnazjalistkę, po raz pierwszy zakosztował namiastki rozkoszy.

Dwa tygodnie później młodzi złodzieje udali się z wizytą do pięknej dziewczyny, aczkolwiek mającej fatalną opinię. Zakochany Jasny Lolo stracił przez nią głowę. Ta znana z urody latawica dzieliła mały apartamencik z zajmującą się najstarszym zawodem świata ciotką. Mieszkały na Znizieniu – w okolicy ulicy Zmarstynowskiej, w dzielnicy o ponurej sławie. Dzielnicowa piękność, chcąc w sposób swobodny zażywać intymnych rozkoszy z Lolem, wpadła na pomysł, by jego kompanem zajęła się ciotka. Wręczyła siostrze matki podarowaną przez Lola srebrną dziesięciozłotówkę, za co gospodyni mieszkania nie pożałowała wdzięków młodemu złodziejowi. Tak, Jurek Wołczecki przestał być prawiczkim.

Jego przyjaciel – wytworny Lolo – zginął od licznych ran klutych zadanych mu nożem przez zazdrosnego kochanka urodziwej latawicy. Wtedy, po raz pierwszy, Jurek użył broni palnej. Postanowił dokończyć i zastrzelić zabójcę bliskiego sercu druha. O rewolwer nagant postarała się rodzina Lola, jego bracia też ubezpieczali przyjaciela zabitego brata, na wypadek, gdyby ktoś zechciał się wtrącić. Akcja rozegrała się na Znizieniu, na oczach wypełnionej klientelą speluny. Szesnastoletni Jurek wypróbował siedmio-nabojowy bębenek rewolweru dziurawiąc z bliska mierzonymi, śmiertelnymi strzałami klatkę piersiową lokalnego zabijaki. Z dymiącym jeszcze z lufy nagantem, wybiegając z knajpy prawie zderzył się ze zwabionymi rewolwerową palbą dwoma policmajstrami. Szczęśliwie dla siebie Jurek zerwał się biegnąc zygzakiem - tak go uczono w szkole doliniarskiej, by zmylić celującego do niego strzelca. Zaszokowani w pierwszej chwili policjanci, zanim nie zniknął w ciemnościach za zaułkiem, oddali w jego stronę parę niecelnych strzałów.

Mściciel przyjaciela - Jasnego Lola, mimo udanej ucieczki z miejsca zabójstwa, nie cieszył się długo wolnością. Zdjęcie Wołczeckiego rozpoznał jeden z policjantów, który ujrzał Jurka z dymiącym rewolwerem w dłoni i chwilę później mierząc do niego z efektem parokrotnie spudłował. Fotografii przyniosła na komisariat zirytowana ciotka. Była zaniepokojona kilkudniową nieobecnością siostrzeńca. Jurek ukrywał się parę dni na jednej z melin, lecz o konieczności opuszczenia przez niego Lwowa zdecydował sam Moryc Szajbe. Kilka dni później do drzwi mieszkania, jego uczciwie prowadzących sklep w Krakowie rodziców, załomotały karabinowe kolby policjantów. Jurek próbował jeszcze się wyrwać zakładającym mu bransoletki kajdanków funkcjonariuszom. Skoczył na pilnującego drzwi wyjściowych policjanta i stoczył się z nim po schodach na półpiętro. Jednak kilka chwil potem, ku zgorszeniu obserwujących aresztowanie sąsiadów, pożegnał się z wolnością.

Po dwóch latach odbyła się trzecia, ostatnia rozprawa z toczących się w Sądzie Karnym przy ulicy Batorego we Lwowie przeciwko Jurkowi Wołczeckiemu. Był 28 sierpień 1939 roku. Na sądowym korytarzu siostra świętej pamięci Jasnego Lola zaskoczyła pilnowanego przez dwóch policjantów Jurka. Rzuciła mu się na szyję i pocałowała go w policzek. Mimo prawie natychmiastowego odepchnięcia jej przez eskortującego aresztanta policjanta, Jurek zadrapany boleśnie w dłoń, poczuł w niej sprężysty drut wielkości agrafki. Dobrze wiedział co zrobić z podanym mu małym wytrychem. Trzymając spuszczoną głowę, niby to udając skruszonego, mimo asysty siedzących po bokach policjantów, pracował wolno. In-

tensywnie się koncentrował, aż na jego czole pojawiły się kropelki potu. Nie interesowały go zeznania dodatkowo powołanych świadków obrony. Pragnął rozpiąć kajdanki. Już myślał, że mu się nie uda. „Boże pomóż”! – prawie pragnął wykrzyknąć. Chciał przekląć swoje niedostatecznie wygimnastykowane palce. Wtem, poczuł ustępującą sprężynę i luzującą się bransoletę na przegubie jednej dłoni.

Mimo wydania przez rodziców Jurka dużej kwoty na adwokata sąd podtrzymał ciężki wyrok dwudziestu lat więzienia. To jedynie podniosło poziom adrenaliny w nadnerczach Jurka Wołczeckiego. Opuszczając salę rozpraw, swobodną ręką uzbrojoną w stal bransoletek zdzielił jednego z policjantów w czoło. Drugiemu przywalił potężnego kopniaka kolaniem w krocze. Policjant, którego twarz zalewała krew z rany na czole, wyciągnął z kabury pistolet vis. Przeładował zamek i... nie ośmielił się strzelić do skazańca biegnącego slalomem między znajdującymi się na korytarzu ludźmi.

Lwów Wołczecki opuścił udając się na kolejowy dworzec przebrany za dziewczynę. Mimo, że mówiło się o nadchodzącej wojnie, zaskoczył go duży ruch na dworcu. Widział tłumy młodych mężczyzn w mundurach, żegnające ich kobiety i rodziny. 31 sierpnia 1939-go roku wiadomo było już, że rozpocznie się wojna, wtedy na całego ruszyła mobilizacja.

[1]. Mordujemy nożami.

[2]. Słabo mówisz kminą (żargonem więziennym). Czasem nie rozumiesz co się do ciebie mówi.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Kazjuno, dodano 18.03.2018 15:27

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.